Andrzej SZOSTEK MIC

MORALNOŚĆ WOBEC PRZEMIAN W POLSCE SZANSE I ZAGROŻENIA

Lekcja „Solidarności” była ważna, stanowiła nader obiecujący początek – ale tylko początek. Zaczęliśmy się wówczas uczyć budowania – a nie tylko walki, aktywnego uczestnictwa – a nie tylko protestów; [...] życia w prawdzie – a nie w zakłamaniu.

Rzymianie powiadali: nemo iudex in causa sua – nikt nie jest sędzią w swojej sprawie. Trudno bowiem o bezstronność tam, gdzie ocena dotyczy nas samych. Przypominam tę zasadę, ważną nie tylko w praktyce sądowniczej, ponieważ zadany mi temat stanowi w istocie zaproszenie do dokonania sądu w swojej sprawie: wszyscy przecież bardziej lub mniej aktywnie uczestniczymy w przemianach w Polsce, na moralność wszystkich nas przemiany te wywierają wpływ, wszystkim nam więc grozi stronniczość sądu. Znaczenie tego wpływu trudno prawidłowo ocenić także dlatego, że brak nam dystansu czasowego, który tak pomaga odróżnić zmiany istotne od błahych. Czynię te zastrzeżenia nie po to, by odwieść Czytelników od dokonania takiej samooceny. Nie możemy przecież zdać się jedynie na osąd innych: bezstronnych, ale mniej z naszą sytuacją obeznanych i mniej nią zainteresowanych. Nie możemy też czekać aż do czasu, gdy łatwiej nam będzie dokonać prawidłowej, ale już bezużytecznej oceny dziejących się dziś przemian. Chodzi mi tylko o to, by właściwie rozumieć sens poniższych uwag: będą to raczej ostrożne hipotezy, niż stanowcze stwierdzenia i definitywne osądy, do których brak nam (a w każdym razie mnie) wystarczających kompetencji.

Temat: „Moralność wobec przemian w Polsce” sugeruje, iż zasadniczy jego problem da się wyrazić pytaniem: jak wpłynęły (i nadal wpływają) przemiany w Polsce na poglądy i postawy moralne Polaków? Z tym jednak wiąże się kwestia druga, praktycznie bodaj donioślejsza: jaki wpływ na dzisiejsze (i jutrzejsze) przemiany ma (i będzie miała) moralność polskiego społeczeństwa? Oba te wzajem dopełniające się zagadnienia będę usiłował uwzględnić. Punktem odniesienia w poniższych analizach będzie przede wszystkim fenomen „Solidarności”. Skupia on bowiem w sobie zarówno nasze szanse, jak i zagrożenia – i przez soczewkę wydarzeń z nim związanych najlepiej można, jak sądzę, uchwycić związek pomiędzy obecnymi przemianami w Polsce a moralną postawą Polaków.

Co do podtytułu artykułu: nie będę osobno wyliczał szans, osobno zaś zagrożeń, myślę bowiem, że to samo, w czym słusznie upatrujemy szansę,

stanowi jednocześnie źródło naszych moralnych (i nie tylko moralnych) zagrożeń. Nie jest to stwierdzenie nazbyt odkrywcze, ale warto się przyjrzeć, jak się ta ambiwalencja przemian w Polsce i postaw z nimi związanych rysuje.

I ostatnia uwaga. Rozważania nasze mają trochę charakter rachunku sumienia, ten zaś dobrze jest zacząć od siebie. Mowa więc będzie o Polsce i Polakach dziś, szczególnie jednak o Kościele w Polsce i kondycji moralnej katolików, którzy niekiedy zbyt szybko uznali, że postulat przemiany mentalności i postaw ich nie dotyczy, skoro komunistycznej rzeczywistości nigdy w duchu nie aprobowali.

PUNKT WYJŚCIA: ODZYSKANA WOLNOŚĆ

Szkolne lekcje historii Polski zapamiętałem głównie jako dzieje walki o wolność: najpierw o jej zdobycie, w opozycji do presji idącej z Niemiec; następnie walki o jej utrzymanie, przebiegającej przez różne dramatyczne okresy, ale w zasadzie pomyślnej aż do kryzysu XVIII-wiecznego i tragedii rozbiorów; wreszcie jako zmagania o jej odzyskanie: jako serię licznych Powstań, od Kościuszkowskiego po Warszawskie – bohaterskich, ale kończących się nieodmiennie klęską. Dwudziestolecie międzywojenne tego obrazu w istocie nie zmieniło; traktowaliśmy je jako krótki przerywnik w naszej narodowej tragedii, a tak zwanego wyzwolenia po II wojnie światowej nikt – zwłaszcza w szkole średniej – nie brał poważnie. Z takim też nastawieniem podchodziliśmy do wydarzeń lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, do powstania i losów „Solidarności". Uczestnictwu w tym ruchu i związku, bądź przynajmniej serdecznej z nim sympatii, towarzyszyło ciche na ogół, ale dość powszechne przekonanie, że i ta nierówna walka z potężnym „niedźwiedziem ze Wschodu" musi się zakończyć porażką, tak jak kończyły się próby wyzwolenia podejmowane od czasu do czasu w Polsce i w innych krajach sprzedanych w Jałcie Związkowi Radzieckiemu przez mocarstwa zachodnie.

I oto stał się cud: nie tylko walczyliśmy o wolność, ale ją wywalczyliśmy. Opanowała nas euforia połączona z zakłopotaniem; tak naprawdę to nie bardzo wiedzieliśmy, jak się w nowej sytuacji zachować. Przykre doświadczenia, zwłaszcza związane ze sferą ekonomiczną, rychło ostudziły euforię – i pozostało zakłopotanie, niekiedy przeradzające się w głęboki pesymizm. Wolność, która stanowiła przez całe pokolenia cel narodowych dążeń, stanęła przed nami jako zadanie, tak trudne, że wielu z nas zaczęło tęsknić za dawnym porządkiem, w którym narzekaliśmy wprawdzie na sprawujących władzę i wielorakie uciążliwości życia codziennego, ale umieliśmy się już w nim niezgorzej poruszać: wiedzieliśmy, jak z kim rozmawiać, jak dbać o swoje interesy. Teraz zaś całe to doświadczenie i wypracowane „układy", cały nasz sposób myślenia i wartościowania został gruntownie podważony. W nowej sytuacji czujemy się obco, odczuwamy bezradność.

Jest dziś z nami trochę tak, jak z chromym, którego Pan Jezus pytał: „Czy chcesz stać się zdrowym?" (J 5, 6). Pytanie – zda się – dziwne i mogło też takim się wydawać choremu, którego przecież właśnie pragnienie uzdrowienia z choroby, na którą cierpiał już od 38. lat, przywiodło do Betesdy. Uskarża się więc tylko: „Panie, nie mam człowieka, aby mnie wprowadził do sadzawki" (J 5, 7). Trzydzieści osiem lat to szmat czasu. I choć go do sadzawki na czas nie zanieśli, to przecież jakąś pomoc otrzymywał, skoro tyle lat zdołał przeżyć. Mógł się przy tym nauczyć żebrać o pomoc, przyzwyczaić do swego stanu, skądinąd żałosnego, a nawet czerpać stąd jakieś profity, podczas gdy świat ludzi zdrowych stawał mu się coraz bardziej obcy. Pytanie Chrystusa może więc mieć i taki sens: czy naprawdę chcesz wejść w świat, w którym wprawdzie będziesz już mógł chodzić, ale gdzie będziesz musiał sam na chleb zarabiać, ponosić odpowiedzialność za swych bliskich, uczestniczyć w życiu społecznym, pełnym napięć i zagmatwań, od których teraz, z powodu choroby, jesteś wolny. Jak wiemy, tuż po uzdrowieniu chromy rzeczywiście znalazł się w orbicie sporów o Jezusa i raz jeszcze usłyszał od Mistrza ostrzeżenie: „Oto wyzdrowiałeś. Nie grzesz już więcej, aby ci się coś gorszego nie przydarzyło" (J 5, 14).

Czy więc naprawdę chcemy być wolni? Zapewne i dziś skłonni jesteśmy odpowiedzieć na to pytanie twierdząco (prostego odwrotu do przeszłości zresztą po prostu nie ma), ale warto w świetle doświadczeń ostatnich sześciu lat zastanowić się, co za sobą taka odpowiedź pociąga; co w nas ów niespodziany powiew wolności odsłonił – i czego wymaga, jeśli wolność rzeczywiście ma się stać naszym udziałem i naszym błogosławieństwem.

UCZESTNICTWO

W opublikowanej ponad ćwierć wieku temu książce *Osoba i czyn* kardynał Karol Wojtyła osobny rozdział poświęcił uczestnictwu jako formie życia osoby ludzkiej, która własne dobro upatruje we wspólnym dobru społeczności, do której należy[1]. Tam też omówiona została solidarność jako najbardziej podstawowa i prawidłowa postać autentycznego uczestnictwa. Analizy kardynała Wojtyły noszą wyraźnie znamię czasów, w których były pisane. Autor dopomina się między innymi o miejsce dla uprawnionego sprzeciwu w społeczeństwie ostrzegając, że wykluczenie go ze struktury politycznej państwa powoduje nieuchronnie jego kryzys, wyobcowuje bowiem zeń poszczególnych obywateli. Gdzie nie ma miejsca na sprzeciw powodowany autentyczną troską o dobro wspólne, tam i solidarność łatwo przeradza się w konformizm: czło-

[1] K. Wojtyła, *Osoba i czyn*, Kraków 1969, s. 283-326. Por. trzecie, poprawione wydanie tego dzieła, uzupełnione publikacjami rozwijającymi niektóre myśli w nim zawarte: K. Wojtyła, *Osoba i czyn oraz inne studia antropologiczne*, Lublin 1994.

wiek nie tyle solidaryzuje się z oficjalnym programem działań politycznych, ile raczej wykorzystuje zewnętrzne warunki i układy do zabiegania o własną korzyść.

Komunistyczny reżym z ośrodkiem w Moskwie zazdrośnie strzegł monopolu władzy. Obywatelom zarówno ZSRR, jak i satelitarnych państw pozostał albo konformizm (na który poszło wielu członków ówczesnej partii i ekip rządzących w PRL), albo – w istocie równie nieautentyczny – unik: próba odsunięcia się tak daleko, jak to możliwe od spraw publicznych w swój prywatny świat. Zarówno konformizm, jak i unik przyczyniały się, oczywiście, do narastania kryzysu ekonomicznego w Polsce, ale przede wszystkim pozostawiały skazę w nas samych. Przeciętny Polak, ostro odróżniając sferę oficjalno-państwową (od której się na wiele sposobów dystansował) od prywatnej (o którą jedynie dbał), zagubił społeczny wymiar własnego rozwoju; zagubił świadomość, że tylko poprzez działanie wspólne z innymi i służbę innym sam odnaleźć może swą osobową pełnię. Nasze duchowe okaleczenie było tym groźniejsze, że na ogół nie odczuwaliśmy z tego powodu bólu.

Nie wszyscy, co prawda, poddali się temu procesowi demoralizacji przez desocjalizację. Z czasem przybierał na sile opór tych, którzy – poprzez serię protestów i coraz to bardziej dojrzałe formy opozycji politycznej – próbowali przywrócić miejsce dla autentycznego sprzeciwu i w ten sposób torowali drogę do uczestnictwa i odpowiedzialności. Kulminacyjnym momentem tego ruchu było powstanie związku „Solidarność", który nie bez powodu określał siebie jako „samorządny": tworzony i rządzony przez samych jego członków. Było to wydarzenie doniosłe w skali kraju i świata, ale rychło wyszły na jaw także słabości tego wolnościowego zrywu. W szczególności okazało się, że łatwiej nam zaakceptować sprzeciw niż solidarność; potrafimy walczyć, nie bardzo umiemy budować, na co niewątpliwy wpływ miały nasze dzieje. Historia zmagań o wolność utrwaliła w nas, jak wspomniałem, ethos rewolucjonisty. Podziwiamy bohaterów, którzy oddali życie w obronie Ojczyzny, stać nas na wielkie zrywy i improwizacje, kochamy podniosłe symbole patriotyczne, podziwiamy tych, którzy potrafią sprytnie oszukiwać władzę – w pogardzie zaś mamy kompromisy i nie bardzo sobie cenimy takie cnoty, jak: pracowitość, sumienność, wytrwałość i praworządność. Nie chcę pomniejszać roli narodowych powstań i ich bohaterskich uczestników ani też lekceważyć polskiej tradycji romantycznej: wielkiej, potrzebnej i – przy bliższym wejrzeniu – bynajmniej nie sprowadzającej się do czysto symbolicznego protestu przeciw zniewoleniu. Chcę natomiast podkreślić, że romantyczny ideał walki – tak skądinąd bezcenny – stanie się dziś zagrożeniem, jeśli na nim poprzestaniemy, jeśli go nie dopełnimy wysiłkiem pozytywnego (w odczuciu wielu: bardzo prozaicznego) budowania.

Uczestnictwo wymaga zaangażowania własnej inicjatywy, poszukiwań – a to oznacza m.in. wzięcie na siebie ryzyka błędu i porażki. Trudno nam to

zaakceptować. Wciąż jeszcze do rangi cnoty podnosi się zabarwioną asekuranctwem bierność. Iluż to Polaków krytykuje wszystkie nasze gabinety, począwszy od rządu T. Mazowieckiego, między innymi za to właśnie, że oddalają ich od wymarzonego „świętego spokoju", w którym nie potrzeba żadnej aktywności. Nie obiecuje się tam kokosów, ale też nie obarcza ryzykiem i pozwala żyć w stanie umiarkowanego niezadowolenia (na podłożu głównie ekonomicznym) z rządu, traktowanego świadomie i wygodnie jako źródło wszelkich nieszczęść. E. Fromm określał taką postawę mianem ucieczki od wolności w świat biedniejszy i bierniejszy, ale spokojniejszy[2]. W świat – dodajmy – nierealny (miejmy nadzieję!) w obecnym układzie politycznym i ekonomicznym. Opowiadano mi o Żydach z ZSRR, którym po przyjeździe do Izraela dawano sporą sumę pieniędzy, by mogli rozruszać prywatny interes. Oni jednak stanowczo woleli zamiast pieniędzy dostać skromną, ale bezpieczną posadkę. Jeśli więc przedstawicieli tego narodu udało się tak zsowietyzować, to cóż się dziwić, że i nas ta choroba dotknęła?

Wiąże się z tym fałszywe, a nader rozpowszechnione wiązanie kapitalizmu z brutalnym wyzyskiem, nie zaś z cnotami pracowitości i odpowiedzialności, które muszą towarzyszyć przedsiębiorczości, jeśli się chce myśleć o utworzeniu znanej i cenionej, a przez to dochodowej firmy. Taki wykrzywiony obraz kapitalizmu wkładano nam systematycznie do głów – i obraz ten pozostał, owocując dziś między innymi całą gamą pomysłowych przestępstw gospodarczych. Co gorsza, wielu Polaków za takim właśnie kapitalistycznym Zachodem (za taką Europą) tęskni. Wiem, że łatwo tu o demagogię: głodny myśli o chlebie, a wielu Polaków przeżywa dziś głód, nic dziwnego więc, że tak właśnie kojarzy się im „normalny" świat. Trudno jednak nie odnotować z niepokojem mentalności konsumistycznej, która dochodzi do głosu wręcz agresywnie – i to nie u najuboższej części społeczeństwa, lecz nade wszystko wśród nowobogackich. Mentalności tej cała ułomna natura ludzka łatwo podlega, ale u nas została ona spotęgowana przez wspomnianą „blokadę uczestnictwa" w okresie trwania PRL. Gdy bowiem pozbawia się człowieka możliwości współbudowania życia społecznego i smaku swoistej radości stąd płynącej, to tym łatwiej redukuje on swe zainteresowania do sfery czysto materialnej.

Najdotkliwsze jednak dowody naszej nieumiejętności wspólnego budowania daje najnowsza polityczna historia Polski. Zaczęło się obiecująco: od trudnych, ale w tamtym czasie jakże ważnych i w końcu owocnych rozmów w Stoczni Gdańskiej w sierpniu 1980 roku. Po okresie stanu wojennego doszło do „okrągłego stołu" i tzw. polityki grubej kreski. Dziś te pomysły poddawane są przez wielu surowemu osądowi. Nie chcę wdawać się w ten spór,

[2] Por. E. Fromm, *Ucieczka od wolności*, Warszawa 1993.

podkreślić jednak chciałbym znaczenie zasadniczej idei leżącej u podłoża tych inicjatyw: idei podjęcia ogólnonarodowego dialogu, w którym nieustępliwości w sprawach istotnych towarzyszyć miała elastyczność w szukaniu politycznej i ekonomicznej ugody. Zapewne nie ustrzeżono się błędów i nadużyć, ale istotne było to, że szukano dróg porozumienia, przezwyciężenia podziałów na gruncie troski o wspólne dobro kraju. Co dziś z tych prób i wysiłków zostało? W cztery lata po przygniatającym sukcesie wyborczym „Solidarności" (100% możliwych do zdobycia miejsc w Sejmie i 99% w Senacie) demokratyczne i wolne wybory wyniosły do władzy koalicję o postkomunistycznym rodowodzie; koalicję, która dziś dysponuje większością, na jaką żaden tzw. solidarnościowy rząd nie mógł liczyć. Nie będę odkrywczy, gdy powiem, że jednym z elementów, który o tej porażce zdecydował, było odejście od ideałów „Solidarności", jakie dokonało się w łonie polityków z niej się wywodzących. Ale szczególnie przygnębiająca okazała się niezdolność prowadzenia dialogu – już nie z komunistami lub postkomunistami, ale we własnym gronie (często wśród tych, którzy ostentacyjnie deklarują swą wierność Kościołowi), wskutek czego doszło do nie kończących się wzajemnych pretensji i do politycznego rozdrobnienia. Dziś stoimy u progu kolejnego przedwyborczego testu na zdolność porozumienia społecznego – i jak na razie nie ma zbyt wielu powodów do optymizmu.

Chcę być dobrze zrozumiany: spory ideologiczne i polityczne, konfrontacje programów reformy społeczno-ekonomicznej, ścieranie się interesów poszczególnych grup społecznych i zawodowych – to rzecz normalna i bynajmniej nie chodzi o to, by za wszelką cenę spory te łagodzić. Prowadzenie ich wymaga jednak umiejętności odróżniania spraw istotnych (gdzie nie ma miejsca na kompromis) od drugorzędnych (gdzie kompromis jest konieczny); spraw publicznych od kariery osobistej; racjonalnych argumentów od taniego i groźnego w skutkach „grania na uczuciach"; programów od haseł. Krytykę taką słyszy się często, sami ją podnosimy – ale zazwyczaj pod adresem adwersarzy. Podkreślmy więc: wszyscy musimy się uczyć rozmawiać: rozsądnie i odpowiedzialnie, gotowi bronić nieustępliwie nie podlegającej głosowaniu prawdy, ale otwarci na krytykę innych. Sztuka takiego dialogu nie jest łatwa i – jak każdą sztukę – osiąga się ją drogą długotrwałych ćwiczeń[3].

To, że przyszło się nam dziś borykać z takimi problemami, nie powinno być dla nas zaskoczeniem. Zrozumiałe, że społeczeństwo pozbawione przez długi czas suwerenności i możliwości wpływania na bieg spraw publicznych z trudem zmienia mentalność walki na mentalność budowania, z trudem uczy się postaw uczestnictwa. To nie pomniejsza jednak wagi tych zadań – wagi tym większej, że nie mamy na ich realizację zbyt wiele czasu. Świat nie będzie bez końca

[3] Szerzej pisałem o tym w artykule *Prawda a zasada pluralizmu w dialogu społecznym i organizacji państwa*, „Ethos" 5(1992) nr 2/3, s. 17-28.

czekał, aż się Polacy nauczą sami z sobą i z innymi przytomnie rozmawiać i zgodnie żyć. Pozostaje jednak osad zawodu i niepokoju – tym silniejszy, im więcej nadziei wiązaliśmy z wydarzeniem „Solidarności": wydarzeniem o znaczeniu nie tylko politycznym, ale właśnie moralnym. Dwa jeszcze elementy tej nadziei – i jej dzisiejszego kryzysu – zasługują na krótkie omówienie. Są to: walka o suwerenność i sprawiedliwość (zwłaszcza w obronie najbardziej zagrożonych) oraz problem życia w prawdzie.

TROSKA O NAJMNIEJSZYCH – BEZ UŻYCIA PRZEMOCY

Pamiętam spotkanie z Jeanem Goss-Mayrem, francuskim liderem ruchu „non violence", jakie miało miejsce w Lublinie bodaj w roku 1969. Polscy rozmówcy próbowali przekonać szlachetnego, ale nieco naiwnego gościa, że metody walki bez użycia przemocy (zorganizowane formy protestu, zwłaszcza strajki), stosowane z powodzeniem na Zachodzie, u nas są po prostu niemożliwe. W rok później gdańscy stoczniowcy pokazali, że rację miał Francuz, a nie my. Z wielką determinacją i konsekwencją robotnicy podjęli protest nie dając się wciągnąć w uliczne awantury – i Gomułka dość szybko i ostatecznie przegrał. Taki sam charakter miała walka w roku 1980, a także potem, w okresie stanu wojennego. Jest coś zdumiewającego w sile, jaką okazała wtedy cała „klasa robotnicza" w walce z rządzącą partią, która mieniła się być jej reprezentacją. Pojedyncze ekscesy, skwapliwie rozdmuchiwane przez środki masowego przekazu, nie mogły przesłonić faktu, że w skali społecznej polscy robotnicy nie dali się wciągnąć w grę kłamstwa i przemocy tym, którzy się tymi metodami stale posługiwali; nie pozwolili, by obustronna przemoc zaciemniła słuszność ich żądań. „Wydarzenia roku 1989 – pisze Jan Paweł II w encyklice *Centesimus annus* – są przykładem zwycięstwa woli dialogu i ducha ewangelicznego z przeciwnikiem, który nie czuje się związany zasadami moralnymi: są zatem przestrogą dla tych, którzy w imię realizmu politycznego chcą usunąć z areny politycznej prawo i moralność"[4]. Ale – dodaje Papież – „nie ulega wątpliwości, że walka, która doprowadziła do przemian roku 1989, wymagała wielkiej przytomności umysłu, umiarkowania, cierpień i ofiar"[5]. Wymagała właśnie solidarności z tymi, którzy byli najbardziej narażeni na cios.

Pamiętamy, jak to się w 1980 roku zaczęło: komunistyczne władze postanowiły zaspokoić żądania płacowe stoczniowców, a następnie rozprawić się z pracownikami gdańskiego MPK. „Solidarność" odnosiła się najpierw do tych, którzy w słusznej sprawie protestowali, ale byli za słabi, by sami mogli

---

[4] Jan Paweł II, Encyklika *Centesimus annus*, nr 25.

[5] Tamże.

się obronić przed odwetem komunistycznych władz. Zrodzona w takim właśnie kontekście „Solidarność" wyrażała przekonanie, że każdy człowiek jest ważny, nikogo nie można zostawić bez osłony, ponieważ zgoda na krzywdę czynioną komukolwiek oznacza rezygnację ze sprawiedliwości i godności w ogóle; oznacza zwarcie szeregów w ramach jednej klasy społecznej, której nie obchodzi los członków innych klas. Tego próbowano nas przez dziesiątki lat uczyć i przeciwko temu wystąpiła „Solidarność", gotowa stanąć w obronie każdego pokrzywdzonego człowieka dlatego, że jest człowiekiem i z tego tytułu zasługuje na solidarną pomoc. Nie dziw więc, że w parę lat później „Solidarność" zdecydowanie opowiedziała się przeciw legalizacji aborcji: uczyniła to w imię tego samego przeświadczenia, że wyłączenie kogokolwiek z kręgu solidarnej troski oznacza akceptację niesprawiedliwości i przemocy, oznacza więc zdradę idei, z której zrodził się NSZZ „Solidarność".

Czy tę solidarność (przez małe „s") przenieśliśmy na nową sytuację? Czy nie zawładnął nami duch walki, od której – gdy jest walką o sprawiedliwość i w obronie najbardziej zagrożonych – odstąpić nie wolno, ale którą trzeba dopełnić pozytywną i pomysłową troską o nich? Są powody do niepokoju.

Pierwszy wiąże się z pytaniem: jak reagujemy na otaczającą nas, wyraźniejszą niż przed laty, biedę? Wyszła na jaw i gwałtownie wzrosła liczba bezrobotnych. Emerytury i renty, a także pensje tych, którzy mają liczne rodziny, zdecydowanie nie wystarczają na zaspokojenie wielu elementarnych potrzeb. Iluż to chorych nie ma za co się leczyć? Coraz więcej żebraków coraz natarczywiej prosi o wsparcie. Wszystko to widzimy, w duchu nad tym bolejemy – ale na tym się nasza troska zazwyczaj kończy. Pozostało dawne przekonanie, że to sprawa rządu – i choć wiemy, jak bardzo programy rządowe nie zaradzają tym potrzebom, poprzestajemy na bezradnym rozłożeniu rąk. Ja, oczywiście, także nie mam prostej recepty na te bolączki. Rzecz jednak w tym, że w obecnym, nietotalitarnie rządzonym państwie (zwłaszcza na obecnym przejściowym etapie jego budowania) żadne programy rządowe nie rozwiążą ostatecznie i zadowalająco kwestii społecznej biedy – i że wobec tego, oprócz tychże programów oraz indywidualnej ofiarności, potrzeba pewnych form społecznego współdziałania na rzecz tych, którym jest w kraju najtrudniej. Chodzi o połączenie czynnej miłości z roztropnością.

Mam wrażenie, że tu właśnie Kościół nie spisuje się zbyt dobrze. Nie chcę być niesprawiedliwy: sam na parafii nie pracuję i nie mogę pochwalić się żadnym dziełem na rzecz ubogich. Wiem też, że wielu duszpasterzy, wiele sióstr zakonnych i świeckich służy z oddaniem ubogim i chorym – także na AIDS. W ubiegłym roku była o tym mowa w czasie sierpniowych Dni Duszpasterskich na KUL-u. Okazało się, jak wiele się w parafiach dobrego czyni, choć dzieła te nie zyskują takiego nagłośnienia w środkach masowego przekazu, jak na to zasługują. A jednak mam wrażenie, że w skali masowej można było uczynić więcej – i że tak zwany przeciętny wierny wprost lub podświadomie

tego oczekiwał. Kartoteki parafialne, regularne wizyty duszpasterskie, autorytet moralny, jakim się Kościół cieszy – wszystko to dawało potężne możliwości zaradzenia potrzebom najbiedniejszych, co ważniejsze: budzenia inicjatywy u wiernych, a wreszcie bardziej stanowczego, publicznego zabierania głosu w obronie tych, których nowe ustawodawstwo lub stare praktyki najdotkliwiej krzywdzą. Sądzę, że za mało było – i wciąż jest – wrażliwości na zwykłą ludzką biedę zarówno u duchowieństwa, relatywnie lepiej sytuowanego od przeciętnego Polaka, jak i w katolickich ruchach i organizacjach.

Czy nie tu leży jedno ze źródeł podziałów i niechęci w obrębie Kościoła? Mam wrażenie, że u podłoża zniecierpliwienia, a nawet gniewu, jakim reagowano niekiedy na stanowisko Kościoła w kwestii ochrony życia poczętego, religii w szkole, respektu dla wartości chrześcijańskich, leżało poczucie, że Kościół – w tym przypadku przede wszystkim duszpasterze – nie stanął dostatecznie wyraźnie i skutecznie w obronie nagle i dramatycznie zubożałych wielu swoich wiernych. Że zabiera tak stanowczo głos w sprawach postrzeganych jako polityczne, a zaniedbał tych, którzy stali się ofiarami dość brutalnie wkraczającego do nas kapitalizmu. Owszem, nie wolno było zaniechać starań o ochronę, także prawną, najmniejszych i bezbronnych, nie narodzonych dzieci. I dziś tego czynić nie wolno. Ale staraniom tym towarzyszyć musi rzetelna i wytrwała troska o borykających się z bezrobociem i innymi niedostatkami wiernych, których w naszych parafiach nie brak. Inaczej powiedzą nam: „Bogaty nigdy nie zrozumie biednego".

ŻYCIE W PRAWDZIE

Dla przybysza z zewnątrz hasło, jakie pojawiło się na ulicach naszych miast przed pamiętnymi wyborami 4 VI 1989 roku, mogło wydawać się nieco dziwne. Pisano bowiem: „Żeby POLSKA była POLSKĄ, 2 + 2 musi być zawsze cztery". Myśmy jednak dobrze to hasło rozumieli. Wszyscy mieliśmy dosyć życia w notorycznym zakłamaniu: głosowania na tych, których nie chcieliśmy widzieć u władzy; przynależności do partii i do Kościoła równocześnie; ćwiczenia inteligencji w wyłapywaniu rzeczywistego sensu oficjalnych enuncjacji, nie tylko przedstawicieli władzy, ale i naszych własnych, gdy przyszło nam wypowiadać się publicznie. Stopniowo zaczynaliśmy się wstydzić tego, czym wcześniej niektórzy skłonni byli się chwalić – że Polak jest jak rzodkiewka: z wierzchu czerwony, w środku biały. Rzodkiewka im starsza, tym bardziej czerwienieje do środka, i stopniowo zaczynaliśmy to sobie uświadamiać. Dwadzieścia lat temu zasłużony rozgłos zdobył artykuł L. Kołakowskiego *Sprawa polska*, w którym wzywał on do życia w godności, to zaś polegać miało nie na „przetrwaniu" niesprzyjających czasów, ale na życiu kulturą, na przeciwstawianiu się sowietyzacji (różnej od rusyfikacji) przez realne prowadzenie polityczn-

nych i kulturowych dysput, przez myślenie i mówienie tego samego – i tak samo – zarówno w prywatnej rozmowie, jak i w publicznych wystąpieniach[6].

Podkreślam: ten proces odkłamywania odbywał się stopniowo (nie nagle) i nie objął wszystkich sfer, o czym za chwilę. Ale od lat sześćdziesiątych stopniowo przybierał na sile. I nie należy jego znaczenia redukować tylko do płaszczyzny politycznej. Kołakowski nie przypadkiem głosił hasło życia w godności. Ta sama godność pojawiła się – i to na pierwszym miejscu – w hasłach „Solidarności" jeszcze przed układem „okrągłego stołu". Owszem, w życiu politycznym tendencja ta znalazła bardziej znaczący wyraz: członkowie opozycji zaczęli ujawniać swe personalia, ukonstytuował się KOR, zaczęto systematycznie wydawać literaturę podziemną. Jest to zrozumiałe: wszelkie procesy społeczne w krajach rządzonych totalitarnie mają silny wydźwięk polityczny, ale proces ów nie ograniczał się do stosunkowo wąskiego grona profesjonalnych polityków. Szczególnie silnie dał on o sobie znać w ruchu „Solidarność", który po raz pierwszy naprawdę mówił językiem robotników: wyrażał ich poglądy i żądania, był związkiem niezależnym – i pierwszym znakiem tej niezależności było to właśnie, że się tam mówiło prawdę, jawnie i dosłownie. Przypomnijmy też sobie, z jaką pasją odkłamywano historię, zwłaszcza najnowszą. Uczniowie w szkołach, gdzie prowadzono tzw. strajk czynny, rychło byli aż znudzeni nieustannym powtarzaniem im tego, o czym przez długie lata nie wolno było nawet napomknąć.

Jeszcze dwa doświadczenia wzmocniły poczucie rangi prawdy i jej istotnego związku z godnością człowieka. Pierwszym była pielgrzymka Jana Pawła II do Ojczyzny w czerwcu 1979 roku. Tłumy ludzi w Warszawie, Krakowie i Częstochowie, z mieszaniną niedowierzania i uniesienia wspólnie się modliły, cieszyły i słuchały słów prawdy. Nie oglądaliśmy się na władzę, która gdzieś się pochowała, nagle mała i nieważna, ale przeżywaliśmy niezwykłą wspólnotę i niezwykły smak życia w prawdzie. To było zaledwie kilka dni, ale pozostały one głęboko w pamięci narodu.

Drugie doświadczenie było bolesne i miało miejsce w latach osiemdziesiątych. Mam na myśli więźniów politycznych, którym obiecywano wolność za podpis „lojalki". Dramat wielu z tych, którzy podpisali, a potem rady sobie z sobą dać nie mogli, lądując niekiedy w zakładach psychiatrycznych, pokazuje per opposita, czym dla człowieka jest prawda i wierność prawdzie; jak złudna jest wolność jej kosztem uzyskana[7].

Przypominam tylko niektóre momenty i przykłady procesu odkłamywania życia społecznego. Uważam go za wątek odrodzenia społeczno-narodowego pierwszorzędnej wagi. Człowiek jest istotą racjonalną (nawet gdy nie bardzo

[6] L. Kołakowski, *Sprawa polska*, w: *Czy diabeł może być zbawiony i 27 innych kazań*, Londyn 1982, s. 300-308.

[7] Por. na ten temat: T. Styczeń, *Wolność w prawdzie*, Rzym 1988.

mu to w smak) i na tej płaszczyźnie: relacji do prawdy, potwierdza lub podważa swą człowieczą tożsamość, godność, wolność.

Cóż się jednak z tym stanowczym wezwaniem do życia w prawdzie dalej działo i dzieje? Znamienne, że charakteryzując proces odkłamywania, nasilony w okresie tworzenia się „Solidarności", nie wspominaliśmy w ogóle o uczciwości – tej zwykłej, wyrażającej się rzetelną pracą, słownością w dotrzymywaniu umów, poszanowaniem prawa, prawdomównością w prywatnych, nie zaś tylko wysoce politycznych rozmowach. Zaabsorbowani walką z komunistycznym totalitaryzmem, szermując hasłami prawdy i życia w prawdzie, nie dostrzegliśmy tego, że jej pierwszym i naturalnym praktycznym „przekładem" jest właśnie uczciwość, która raczej nie była (i nie jest) w cenie. Pamiętamy anegdotki na temat zdumiewającej dla zachodnich obcokrajowców, a dla nas „normalnej" sytuacji przeciętnego Polaka, który więcej wydaje, niż zarabia – i tej formy zakłamania jakoś się zbytnio nie wstydzimy. Uważaliśmy komunistów za obcych panów, zarzucaliśmy im, że nas krzywdzą, dokradanie zaś traktowaliśmy jako należne nam z tytułu sprawiedliwości „wyrównanie" – i oto dziś, gdy jesteśmy „na swoim", okradamy wzajem siebie, na ogół bezkarnie i z pomysłowością, na którą nas gdzie indziej nie stać. Starsza pani, która wychodząc z autobusu oddaje swój skasowany bilet wchodzącemu pasażerowi, traktuje swój czyn jako tytuł do chwały, a nie zawstydzający akt kradzieży. Słyszałem o pewnym księdzu, który – jako dobry duszpasterz, zatroskany o swych wiernych – tłumaczył z ambony, jak ominąć nowe przepisy podatkowe (nb. podatki są niekiedy tak wysokie, jakby z góry liczono się z oszustwem obywateli). Nie są to drobiazgi. Tak jak złe pijackie obyczaje czynią mało skuteczną walkę z alkoholizmem, tak też społeczna aprobata nieuczciwości, bezsensowne odróżnianie kradzieży prywatnej od publicznej, lekceważenie wszelkich przepisów – wszystko to są rafy, o które rozbija się niejedna słuszna skądinąd i szlachetna reformatorska inicjatywa. Trzeba oczywiście tworzyć taką prawno-ekonomiczną sytuację, by opłaciło się być uczciwym. Jest to jednak proces długi i musi mu towarzyszyć wysiłek odbudowy ethosu pracy, zniszczony gruntownie w okresie panowania komunizmu.

Godnym uwagi przykładem dwuznacznego traktowania postulatu życia w prawdzie jest stosunek wielu katolików do nauki Kościoła. Zdumiewamy się i gorszymy dawnymi członkami komunistycznej partii, którzy pewnego pięknego dnia przechrzcili się w socjaldemokratów i bez skrupułów dążą do zdobycia władzy. Ale czy nie podobnie traktuje swe przekonania ten, komu przyznanie się do katolicyzmu nie przeszkadza ignorować nauczania Kościoła i wybierać z prawd wiary i moralności tych, które mu odpowiadają? Fenomen „ale-katolika" znany jest nie tylko w Polsce. U nas jednak przejawia się on nie tyle w publicznych dyskusjach z Papieżem i biskupami, ile raczej w schizofrenicznym odróżnianiu prawdy, w którą się „oficjalnie" wierzy, od tej, którą się faktycznie uznaje i wedle której postępuje.

Wielokrotne nawiązywanie do „Solidarności", zdarzeń, które ją poprzedziły, i samego jej wybuchu, pobrzmiewać mogło nostalgią. Nie chodziło mi jednak o jałową próbę zawrócenia biegu zdarzeń, lecz o przywołanie ethosu, który był wówczas – i nadal jest – naszą szansą. Był to ethos głębokiej metanoi: nawrócenia się, by żyć prawdą w miłości, nawrócenia w sensie głęboko chrześcijańskim. Zmagania o wolność i solidarność znajdowały swoje naturalne miejsce w Kościele: nie do pomyślenia były strajki bez Mszy świętych i spowiedzi; jednym z owoców sierpniowych rozmów było wywalczenie niedzielnej Mszy św. radiowej; nie sposób wreszcie przecenić znaczenia wyboru kardynała Karola Wojtyły na Stolicę Piotrową i jego kolejnych pielgrzymek do Ojczyzny. Znamienna jest jednak różnica w odbiorze tych pielgrzymek – zwłaszcza różnica pomiędzy nastrojem, jaki towarzyszył pierwszej, a tym, który cechował czwartą z nich w czerwcu 1991 roku. Gdy Papież wołał na placu Zwycięstwa w Warszawie w wigilię uroczystości Zesłania Ducha Świętego A.D. 1979: „Niech zstąpi Duch Twój! Niech zstąpi Duch Twój! I odnowi oblicze ziemi. Tej Ziemi!"[8] – któż z nas przypuszczał, że modlitwa ta wypełni się tak rychło i tak potężnie? Ale wtedy modliliśmy się wraz z nim, żarliwie i szczerze. Gdy po dwunastu latach, w nowej rzeczywistości, nawoływał do przestrzegania Bożych przykazań – w imię tego samego Ducha i tej samej metanoi – napotkał opór i kontestację wielu. Kto wie, czy największa nasza szansa i największe zagrożenie nie zależą od tego, czy wytrwamy. Lekcja „Solidarności" była ważna, stanowiła nader obiecujący początek – ale tylko początek. Zaczęliśmy się wówczas uczyć budowania – a nie tylko walki; aktywnego uczestnictwa – a nie tylko protestów; porozumienia na drodze dialogu i sprawiedliwości – a nie przemocy; życia w prawdzie – a nie w zakłamaniu.

W gruncie rzeczy jest to droga Bożych przykazań: jak dla Izraela, tak i dla nas stanowią one rdzeń przymierza z Bogiem. Ale też jak Naród Wybrany, tak i nas, Polaków, czeka długa droga wewnętrznej przemiany, byśmy byli zdolni posiąść Ziemię Obiecaną. Izraelici bywali krnąbrni i nieposłuszni – ale szli, aż w końcu doszli. Pytanie: czy i nam starczy woli i wytrwałości; czy nam, chrześcijanom, wystarczy wiary, by w drodze nie ustać, a także poczucia odpowiedzialności za ten proces, w który od początku tak głęboko wpisał się Kościół? Oby starczyło.

---

[8] *Jan Paweł II na ziemi polskiej*, red. ks. S. Dziwisz i in., Watykan 1979, s. 34.